

Bogdan Bąk

Zielonogórskie debiuty

Serię zielonogórskich debiutów otworzył arkusz poetycki Janusza Koniusza, wydany we Wrocławiu, a finansowany przez Lubuskie Towarzystwo Kultury.

Swego czasu pisząc o tomiku Koniusza w „Nadodrzu” podkreślałem „architektoniczność” jego poezji. Wskazywałem, że metaforyka typu geometrycznego” jest konsekwencją poetyckich założeń „awangardy”, dla której metafora jest przecież tylko matematycznym równaniem. Trzeba tu jednak koniecznie dodać, że metaforyki tego typu, poeta stanowczo nadużywa. Wymieńmy przykłady:

Kondygnacje wyobrażeń
wyłożone sylabami
bez gzymsów
kolumn
fasad
(„Miasto”)

Cóż więcej
poza
lawiną stożków
hukiem trapezów
przepaścią światła
(„W górach”)

„Pączkuję w sześciokątny ogród powietrza”
(„Rekonwalescencja”)

Podane tu, wyłowione z kilkunastu wierszy — nie wszystkie przecież — przykłady są bez wątpienia ciekawe, choć też na pewno wracają zbyt często. Koniusz niepotrzebnie zawęży i zuboży rekwizytornię poetycką, choć inne wiersze świadczą o tym, że jego poetycka wyobraźnia jest szeroka, różnorodna i ciekawa.

Trzeba tu dodać, że ten typ metaforyki spotyka się przede wszystkim w jego liryce refleksyjnej. Jeśli już mowa o refleksyjnych, filozoficznych wierszach poety, trzeba tu dodać, że choć nie grzeszą one odkrywczością, że często prawdy Koniusza są truizmami, to podane

są one w sposób bez wątpienia bardziej świeży i oryginalny, niż w wypadku innych zielonogórskich poetów. Wiersze typu „Stworzenie”, a więc utwory mające ambicje syntetyzujące muszą w tej chwili być porażkami, jeśli wziąć pod uwagę wiek, a zatem i zakres doświadczeń życiowych ich twórcy. Można natomiast postawić Koniuszowi poważniejszy zarzut, zbyt rzadko odwołuje się on do emocjonalnych doznań odbiorcy. Intelktualne, racjonalne argumenty czytelnik znaleźć może w rozprawach filozoficznych, czy choćby publicystyce. Biorąc do ręki tomik poetycki, chce przede wszystkim przeżyć w ać! Intelktualne treści nie wykluczają emocjonalnego odbioru.

Zresztą nie te wiersze są najciekawsze w „Tempie krążenia”. Najciekawsze są bez wątpienia utwory, w których widzenie świata przepuszczone jest przez soczewkę groteski. Wystarczy tu chyba przytoczyć „Pannę z podwórka”.

Pod pergaminowym biustonozem
listkiem nie z figi
wdepnięta w obcasy marchwi
kostki wieprzowe nawleka na jableczne łupiny
draży dziurki w klipsach kartoflanych
strojnisia spod okiennicy
śmietnikówna.

Prostota tego utworu — łącznie z żartobliwym przymrużeniem oka, sprawia, że wiersz zaliczyć przyjdzie do najciekawszych osiągnięć poety. W ogóle wydaje się, że groteska najbardziej odpowiada poetyckiemu temperamentowi Koniusza i żałować należy, że w tej chwili znajduje się niejako na marginesie jego zainteresowań twórczych. Teżę powyższą wesprzeć można choćby wierszem zatytułowanym „Na odlot w międzygwiazdy”.

Wyodrębniłem tu tomik Koniusza nie tylko dlatego, że był to pierwszy debiut zielonogórski, lecz także dlatego, że wiersze z „Tempa krążenia” są (porównawczo i nie tylko) najbardziej wykrystalizowane, najbardziej dojrzałe, jeśli oczywiście debiut może być w pełni dojrzały; świadczą o własnej poetyckiej „twarzy”, o poszukiwaniach autora, co też nie jest rzeczą bagatelną.

Podkreśliłem ten fakt tak silnie, gdyż dwa kolejne debiuty zielonogórskich poetów — „Kolory wzruszeń” Henryka Szyłkina i „Pryzmaty” Bolesława Solińskiego — nie dostarczają materiału świadczącego o poszukiwaniach twórczych. Ma bez wątpienia rację recenzent „Ty-

godnika Zachodniego” Włodzimierz Jasiński, pisząc, że „poeci ci nie wiele różnią się od siebie ani genealogią poetycką, ani treścią swych wierszy, ani tych wierszy stroną formalną, ani wreszcie sposobem patrzenia na świat i percepcją rzeczywistości”.

Skonkretyzujmy to zastrzeżenie. Twórczość obu poetów wywodzi się z manieri Różewicza — więc jednego z najpotężniejszych konarów awangardowego pnia. (Mistrzem Koniusza jest przede wszystkim Tymoteusz Karpowicz). W określaniu tradycji, z których czerpią twórcy, kryje się już zapowiedź klęski. Pozorna łatwość sprozaizowanego wiersza Różewicza pociąga autorów, stając się jednocześnie pierwszym krokiem ku ich porażce; zapewne dlatego, że krok tylko dzieli prawdą i wiarę poezję Różewicza od rozbitej graficznie prozy jego naśladowców. Nie ma tu oczywiście większego sensu przepisywanie wierszy obu poetów bez wersetowych wyróżnień, ale za to z interpunkcją. Najbardziej dobitnym przykładem tej tezy może być różewiczowski już w temacie „Inwalida” Szylkina. W dorobku tego autora można znaleźć więcej równie chybionych utworów. Niech za przykład posłuży choćby „Matka” pisana językiem nienajlepszej prozy publicystycznej. Ekzemplifikując tę tezę w oparciu o wiersze Solińskiego, wystarczy tu przytoczyć fragment wiersza „Realizm naiwny”.

Znalazłem ją
rzuconą
wśród wielu innych przedmiotów
podniosłem
brudną i brzydką

Zresztą jeśliby tytuł tego wiersza potraktować jako wielką metaforę — można śmiało wysnuć wniosek, że właśnie naiwny trochę realizm wierszy obu poetów, najbardziej je obciąża. Jeśli dodać do tego równie naiwne, truizmami będące odkrycia uogólniające takich wierszy jak „Nijacy”, „Cel”, czy „Katarakta” Solińskiego, lub „Gmach” i kilka innych utworów Szylkina, sprawa nabierze pełniejszych kształtów. Na marginesie tego ostatniego wiersza: pointa nie jest tu w moim przekonaniu adekwatna do treści. Przecież fundament to coś mocnego i trwałego, równie trwałe i „Gmach” ów być powinien. Zresztą nurt „rozrachunkowy” bliski ważykowskiemu „Poematowi” w ogóle zbyt obficie i nie najszcześliwiej reprezentowany jest w obu tomikach. Razi to tym bardziej, że czas poszedł naprzód i od seryjnych rozrachunków sporo już wody upłynęło. By mi nie zarzucano gołosłowności, przytoczę tu „Omyłkę” Szylkina:

Zamiast ust
miał piszczałki
do powtarzania głosu

Na nogach
żelazne kule
aby nie zaszedł daleko

Więc mówiono
to człowiek
spokojny

Czyż nie dzwięczą w tych strofach słowa „Wyłowiono z Wisły topielca?”...

Bezsensowne jest chyba wytaczanie co najcięższych armat — jak uczynił to L. H. w „Życiu literackim” przeciw wierszom Szylkina i rażenie z nich obu debiutantów. Przecież w obu tomikach obok zdecydowanie banalnych metafor i porównań — „łuk twoich ramion”, lub „zgarbiony jak plecy dziadka” u Szylkina, czy „do kolorowej lampy lecą myśli jak ćmy” Solińskiego — spotkać można wiersze naprawdę udane. Zaliczyłbym do tej grupy przede wszystkim kilka erotyków Solińskiego (m.in. „Motyl”), oraz niektóre wiersze Szylkina, choćby „Praca” czy „Gniew”. Utwory te są niewątpliwym świadectwem poetyckich możliwości obu autorów.

Gdyby kazano mi jednak wybierać i przyznać komuś tak zwaną palmę pierwszeństwa, postawiłbym na Szylkina, w którego najlepszych wierszach urzeka prawda i prostota przeżycia, najsilniej też dochodzi do głosu liryczne „ja” poety, oraz zaangażowanie w sprawę świata, o którym pisze.

Wydaje się, że poważną winę za negatywną raczej ocenę tomików ponoszą nie autorzy, lecz edytorzy. Wybory są zbyt obszerne. Gdyby wyselekcjonować 10—15 najlepszych wierszy, obraz kształtowałby się niewątpliwie inaczej.

Nie wiem tylko, czy najdalej posunięta selekcja pomogłaby wiele czwartemu debiutantowi zielonogórskiemu Bronisławowi Suzanowiczowi. Przeczytałem tomik, który zresztą nie jest, ani spowiedzią, ani tym bardziej spowiedzią liryczną. Spowiedź jest przecież kameralnym wyznaniem spraw bardzo osobistych, jest więc z natury liryczna. Jeśli zaś już przymiotnik ten dodaje się, można oczekiwać w pełni egotycznego widzenia świata. A tego w wierszach Suzanowicza nie ma.

Brak dat pod poszczególnymi utworami nie pozwala stwierdzić, czy wiersze tradycyjne z ciągnionymi za uszy rymami lub asonansami są wcześniejsze. Należałoby jednak przypuszczać (prawidłowość rozwojowa naszej poezji), że Suzanowicz niedawno stał się „awangardystą”; stąd też te poważne luki warsztatowe. Nie potrafiłbym jednak jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, który typ wiersza bardziej mi odpowiada, które utwory są lepsze (lepsze w tym wypadku, absolutnie nie znaczy dobre). W obu wypadkach razi przede wszystkim pretensjonalna, z młodopolską nadętą metaforą, nie tworząca obrazów artystycznych, ani też nie wywołująca estetycznych wzruszeń. Niedobrze, gdy po lekturze większości wierszy ciśnię się na usta jedno tylko pytanie: no i co z tego?

Nie mam nic przeciwko temu, aby poeta „gwizdząc Marsylianę zaczął kopać we wrota „Wielkiej Tajemnicy”. Tylko na miłość boską, czy to już dostateczny powód do wydania tomika wierszy? Mówią inaczej. Na pewno można uratować parę wierszy Suzanowicza, ale to jeszcze zbyt mało. Cenię u autora przede wszystkim odwagę. Bo trzeba na prawdę niemałej odwagi, by firmować swym nazwiskiem „Spowiedź liryczną”. Cenię, lecz specjalnie nie dziwię się. Debiutanci zwykle są tacy. Dziwię się natomiast Arnoldowi Śluckiemu, który jako redaktor — nazwiskiem swym tomik firmował.

Nie użyję tu stereotypowego określenia „dobrze się stało, że Lubuskie Towarzystwo Kultury... „Fakt, że LTK finansuje edycję tomików, że umożliwi debiut poetom, którzy nie często mają okazję przekonać o swych walorach wydawnictwa centralne, ma swój niewątpliwie pozytywny sens. Nie wolno jednak przy tym w żadnym wypadku zapominać o jakości. A moim zdaniem przynajmniej w jednym wypadku książka nie osiągnęła niezbędnego minimum. Musi to oczywiście budzić obawy o przyszłość. Szczerze radziłbym ograniczenie rozmiarów książek.

Warto też zaostrzyć kryteria kwalifikacyjne. Nie idzie tu nawet o fikcję bibliograficzną — bo to rzecz mniejsza. Idzie o to, by nie produkować zbyt wielu autorów jednej książki.

Na zakończenie wyznanie natury osobistej. Gorzkie i ostre sformułowanie tego szkicu podyktowała w gruncie rzeczy (a często wbrew pozorom) serdeczna troska o terażniejszość lubuskiego środowiska poetyckiego. Zrezygnowałem też z napisanej, choć tradycją uświęconej zasady, że debiuty prowincjonalne traktować trzeba na zasadzie mniejszych wymagań. Nie zastosowałem tu taryfy ulgowej, choć nawet w najśmielszych marzeniach sennych nie ubieram togi Katona, ani też okularów samego Artura Sandauera.